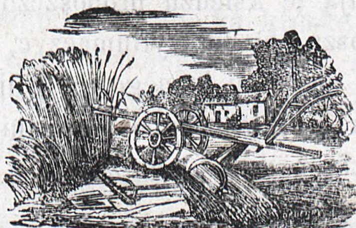
Tom IV. 11. Grudnia 1871. Nr. 17.

Rok dwunasty.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1., 11. i 21. każdego miesiąca.



Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Ksiądz Paweł Brzostowski,

przyjaciel i dobrodziej ludu wiejskiego.

Już to prawdy nie trzeba obwijać w bawełnę, ale wyznać otwarcie, że tylko nauka i oświata sprowadzają mienie i znaczenie, szczęście i swobodę na tej ziemi. Która więc gmina tak pojmuje rzeczy, bez wszelkich korowodów zakłada szkołę, bo z niej pożytek wielki i dla niej samej i dla kraju całego.

I we wsi Zgrzebnicy stoi od lat kilkunastu szkoła, to też zaraz poznać, że tu inaczej niż w innych wioskach, w których nie ma szkoły. Mniej też tu pijaków i obrazy Boskiej, ale za to więcej dobytku, poszanowania cudzej własności i zamiłowania w tem, co swojskie i polskie. Gospodarze umieją na książkach, więc w święta i niedziele nie próżnują w karczmie, ale czytają z druku, by czas mile spędzić, pouczyć się trochę i dowiedzieć się kapkę o Bożym świecie i co się na nim dzieje.

Z całej Zgrzebnicy podoba się mi najlepiej jeden gospodarz, Filip Struga, który ma syna najstarszego aż w Krakowie na naukach, i Bóg da doczekać, niezadługo będzie miał pociechę z niego. Młodsze zaś dzieci posyła do szkoły w Zgrzebnicy i cieszy się bardzo, gdy mu czasem opowiadają, czego

się tam uczą?... A ile razy ów prawy gospodarz idzie do Krakowa, za każdym razem przynosi dzieciom obrazki od brata: a one pokazują je księdzu proboszczowi, nauczycielowi albo organiście i proszą, by im wytłumaczyć, co one oznaczają.

Owóż zdarzyło się razu jednego, że Filip Struga przyniósł od syna z Krakowa drugiemu synowi Jacuniowi, który chodził w Zgrzebnicy do szkoły, kilka obrazków, a między niemi był jeden taki, co miał podpis:

Ksiądz Paweł Brzostowski.

Jacuś pokazywał go innym chłopcom w szkole, ale żaden biedaczyna nic o nim nie wiedział. Uradzili, aby się o wszystko zapytać księdza proboszcza, gdy przyjdzie na naukę do szkoły.

Jakoż ksiądz proboszcz przyszedł, a śmiały Jacuś tak powiada do niego, całując go w rękę:

— Proszę księdza proboszcza, a co też to za ksiądz może być wymalowany na tym obrazku? My sobie łamiemy głowy, ale w żaden sposób nie możemy przyjść do końca...

Ksiądz proboszcz spojrzał zaraz na obrazek, przeczytał podpis i tak powiedział do chłopców:

— Moi kochani! teraz wam nie mogę wszystkiego wyjaśnić dokładnie, ale poczekajcie cierpliwie do niedzieli, gdy się tu na czytankę i pogwarkę zejdą ojcowie wasi, to opowiem wszystkim życie tego rzadkiego przyjaciela i dobrodzieja ludu wiejskiego.

Niebawem nadeszła niedziela. Gospodarze i dzieci zeszli się do szkoły, a ksiądz proboszcz tak zaczął mówić, pokazując obrazek:

— Ponieważ mię dzieci zagadnęły w szkole, by im opowiedzieć o tym księdzu, którego przedstawia ten obrazek, czynię to z największą ochotą, a więc posłuchajcie:

...Ksiądz Paweł Brzostowski urodził się na Litwie, we wsi Mosarzu, parafii duniłowickiej, 30. marca 1730 roku. Chłopcem będąc, gdy chodził do szkoły, był bardzo skromnym i pobożnym, a przytem pracowitym, wielce miłującym nauki. Czasu nie marnował na zbytki, ale poświęcał go pracy. Zapamiętał on sobie widać dobrze, co uczono w szkole: „Módl się i pracuj!“

Jakoż mały chłopczyna postępował wedle słów tych najsumienniej, a mając zaledwie lat trzynaście, umyślił sobie zostać księdzem i nie odstąpił już ani na kreskę od swego zamiaru. A pochodził on z rodu dostojnego, który się dobrze zasłużył w Polsce. Toć dobrze to mówi przysłowie nasze: „Nie daleko padnie jabłko od jabłoni.“

Gospodarze podumali trochę, a Walenty Smajda tak mówi:

— To pięknie, że taki był zamysł małego chłopca, ale jakże tak wcześnie mógł zostać księdzem i gdzież nim został?

Na to powie ksiądz proboszcz zrozumiale:

— To prawda, że nie mógł od razu zostać księdzem, ale bo też nie od razu Kraków zbudowano. Kto chce zostać księdzem, musi się uczyć, choćby nie wiem jakim był panem. Otóż i Paweł Brzostowski chcąc nim zostać, potrzebował nauki, zwłaszcza że był tak młodym. W 1755 roku był już kanonikiem wileńskim Zaś w roku 1758 pojechał aż do Rzymu dla słuchania dalszego kapłańskich nauk i tam odebrał wyższe ukształcenie Potem wrócił do kraju ojczystego i zaraz odbierał honory za swą zdatność i naukę. Zrobiono go pisarzem wielkim litewskim, wnet potem deputatem z kapituły wileńskiej na trybunał litewski, a dnia 9. listopada 1763 roku odprawił pierwszą mszę świętą w kaplicy u księży Pijarów w Wilnie, stolicy Litwy, mając 33 lat, 7 miesięcy i 9 dni wieku.

Odtąd zaczął jak najpiękniejszy żywot, iż może służyć za wzorowy przykład. Umiłowawszy nad życie swoją ojczyznę, poświęcił dla niej swą młodość i siły, i cały jak najzbawienniejszej, jak najpoczciwszej oddał się pracy.

Wiedząc, że nietylko słowem, ale i piórem wiele można zdziałać dobrego, wziął się gorliwie do pisania książek. Jedne pisał sam z swojej głowy, inne tłumaczył z obcych języków, aby tylko piękne cnoty i światło nauki przyjmowało się między ludźmi. Wydał jedną książeczkę z włoskiego, aż w dwóch tomach, która miała takie nazwanie: „Nauka dla nowych spowiedników.“ A nietylko że sam pisał i tłumaczył, zachęcał jeszcze innych do pisania i tłumaczenia, a w czem się tylko dało, pomagał swą nauką i kieszenią, i wiele też książek pożytecznych ogłosił z druku swoim kosztem.

— A to aż miło słuchać o takim człowieku — zagadał Tomasz Bryłka — co to ani pieniędzy, ani wiadomości nie szczędził dla powszedniego dobra rodaków swoich.

— Oj moi kochani! — powie ksiądz proboszcz — tak czynić, to się mi zdaje — powinien każdy prawy obywatel kraju, bo nietylko dla siebie, ale i dla drugich żyć i poświęcać się należy. Ale ksiądz Brzostowski zasłynął jeszcze z czego innego! Odznaczył się on nietylko sumienną pracą, lecz także i nadzwyczajną ludzkością.

— A toć opowiedźcie nam, księże proboszczu, o tem wszystkiem z łaskawości swojej — wtrącił Stanisław Modry — bo gdy człowiek słucha o takich rzeczach, to mu się rado robi w sercu i jakoś milej w duszy człowiekowi.

A ksiądz proboszcz na to:

— I ja się raduję, gdy mogę komu opowiedzieć o pięknych czynach dobrych ludzi, a jeszcze więcej cieszę się z tego, gdy do tego ochotnych mam słuchaczów. Owoż opowiem wam o wszystkiem.

Ksiądz Paweł Brzostowski był zapewne pierwszym w Polsce człowiekiem, który się zaczął zastanawiać nad ludem wiejskim, nad jego dolą i niedolą, nad jego opłakanym stanem, nędzą i ciemnotą i on pierwszy postanowił go dźwignąć z upodlenia i doprowadzić do godności obywatelskiej i znaczenia w społeczeństwie naszem. Tym sposobem chciał zrobić początek do przemiany położenia kmiotków w całej Polsce. To, co później nastąpiło, było bardzo zbawienną rzeczą, ale w swoim czasie; Brzostowski jednak był najpierwszym przyjacielem i dobroczyńcą ludu wiejskiego i za to jemu należy się pierwsza zasługa na tem polu. Każdy chłopek powinien więc za pierwszego zbawcę doli swojej nieraz gorące słać modły do Boga i znać życie człowieka, w którym najżyczliwiej, a najwcześniej zabiło serce dla polskiego ludu.

— O mój Boże! — zawołał Stanisław Modry — a cóż też to za wybrana dusza była z tego księdza!..

— Tak, moi mili! — odpowiedział ksiądz proboszcz — wybranych ludzi przeznacza Bóg na opiekunów ludu! Do nich policzyć trzeba i księdza Pawła Brzostowskiego. Zostawszy

kawalerem św. Stanisława, wkrótce potem nabył na własność dobra Merecz w województwie wileńskiem, które 24 lipca 1767 roku wziął w swój zarząd. Najprzód chodziło mu o lud wiejski Zaczął się przyglądać jego życiu, jego cnotom i występkom, i poznał wnet z łatwością, że jest gnuśny do pracy, bo ciemny i nieoświecony, nie taki, jak to widział za granicą. Żal się mu zrobiło tego ludu poczciwego. Dniem i nocą przemyśliwał, jakby mu przyjść w pomoc i biedny ludek postawić na nogi. Całą duszę i serce swoje oddał na usługi w tym celu. Nic go tak bardzo nie zajmowało, jak dobro ludu, chociaż w Polsce dziwne wtedy działy się rzeczy. W różnych sprawach ojczyzny serdeczny brał udział, lecz najbardziej zajął go Merecz. A było to ulubione miejsce królów polskich, zwłaszcza Władysława IV., gdzie też wracając z Wilna do Warszawy, gwałtownem polowaniem osłabiony, zakończył życie 20 maja 1648 roku o godzinie pół do drugiej po południu.

Objąwszy na siebie ksiądz Paweł Brzostowski dobra Merecz, zajął się wszystkiemi siłami ulepszeniem tego, co było niekorzystnem lub złem dla włościan. Aby nawet i nazwa Merecza nie przypominała im przykrej doli, nazwał dobra swoje od imienia własnego Pawłowem. I wprowadzał jedną nowość za drugą, pracując najgorliwiej nad oświeceniem kmiotków. Nakoniec dnia 10 marca 1769 roku zawarł z poddanymi swymi umowę, iż w całych swych dobrach znosi poddaństwo, a zaprowadza rzeczpospolitą Jakoż aktem urzędowym nadał włościanom wolność osobistą i rozporządził, by gmina była jakby sejmem, by sobie sama ustanawiała prawa, a on tylko będzie dożywotnim jej prezydentem. Owoż każdy miał zabezpieczoną swą własność, każdy był na jej straży i mógł bronić porządku wewnętrznego.

Ksiądz Paweł Brzostowski tak wszystko urządził mądrze, że było tam wszystko swoje: pieniądze, wojsko, nawet artylerya, a od czasu do czasu zwoływano sejmy i radzono nad ogólnem dobrem Możecie sobie wyobrazić, jak to przyjemnie musiało być w Pawłowie! Zdawało się, że tam raj ziemski, że tylko ptasiego brakuje mleka. Pawłowianie radzili sobie w postawionym przez księdza Brzostowskiego ratuszu, uczyli

swoje dzieci w założonej przez niego szkółce i coraz im było lepiej A jak się rządzili w swej gminie, donosi o tem mała książeczka: „Pawłów od r. 1767 do 1795 od jednego domowego przyjaciela opisany.“ Ksiądz Brzostowski radził z Pawłowianami nad ich pomyślnością i oddawał się nauce. Chcąc naród pobudzić do myślenia i pracy, ogłaszał pytania naukowe, a kto mądrze na nie odpowiedział, otrzymywał nagrodę.

Niebawem został ksiądz Brzostowski z pisarza wielkiego referendarzem litewskim, co było bardzo zaszczytnym urzędem. Ale ciągle mieszkał wśród swojej gminy, kochany i szanowany jako najlepszy ojciec. Król ofiarował księdzu Brzostowskiemu obadwa ordery polskie orła białego, bo go bardzo czcił Ksiądz Brzostowski lubił żyć w cichości i czuł się najszczęśliwszym, gdy mógł przebywać wśród swoich Toć też złożył dostojny urząd referendarza litewskiego na rzecz bardzo uczonego księdza Kołłątaja, by nigdzie nie ruszać z Pawłowa. Około tego czasu utworzył nowy fundusz w kwocie 30 tysięcy złotych polskich na utrzymanie zdolnego felczera, czyli cyrulika i nauczyciela dla włościan pawłowskich. Gmina nie mogła się nacieszyć tak ludzkim i prawym opiekunem; uchwaliła więc na korzyść ojczyzny odlać dwa działa trzyfuntowe dla artyleryi litewskiej. Za to sejm warszawski zatwierdził rzeczpospolitą pawłowską. Stało się to wszystko przed konstytucyą 3 maja, dnia 4 kwietnia 1791 roku

Na nieszczęście jednak nastąpił rozbiór Polski. Ksiądz Brzostowski pojechał do Warszawy, i tu szukał bezpieczeństwa. W Pawłowie płaczom i lamentom nie było końca; zdawało się, że tam koniec świata Ks. Brzostowski wyjechał do Drezna, a ztąd przeniósł się do Rzymu, gdzie sobie kupił dom z ogrodem, a pieniądze złożył w banku. Kiedy powrócił do kraju, Pawłów był wtenczas w ręku jakiegoś cudzoziemca, a wiekopomne dzieło księdza Brzostowskiego było wywrócone do szczętu. W bardzo podeszłym wieku staruszek zamieszkał w Turgielach, o ćwierć mili od Pawłowa, aby choć wspomnieniami z lat ubiegłych koić zbolałą duszę i widywać miły ludek, dla którego tak dobroczynnie biło jego serce.

Jako prałat nadworny Piusa VI. papieża, zakończył tak

szlachetnemi czynami ozdobione życie w Wilnie 1828 roku, licząc 98 lat wieku On był pierwszym przyjacielem i wybawcą ludu wiejskiego z nędzy i upodlenia, a dzisiaj jeszcze w Pawłowie szczątki ratusza i szkółki są świadkami, ile dobrego chciał zrobić.

Józef z Bochni.

Dziadek.

Na dworze mroźno, szumi ulewa,
Jakiś staruszek dąży do wioski,
Śrebrzyste włosy wiatr mu rozwiewa,
W ustach brzmi piosnka do Matki Boskiej.
Może on głodny, spragniony może?
Wynieś mu chleba, daj kubek wody!
Błogosławieństwo za to ci Boże,
Uprosi starzec ten siwobrody!
Bo najszczytniejszą cnotą na ziemi:
Jest zlitowanie się nad biednymi.

Zanucim kiedyś.

Bracia wraz!
Przyjdzie czas,
Podniesiem szablicę
Na Moskwy łby,
Co nam w łzy
Wtrącili ziemicę.

W sercu żal
W dłoni stal
Wyprzem Moskwy plemię;
Choć ich gniew
Ssie nam krew,
Posiędziem swą ziemię.

Z nieba grom
Za ten srom,
Spadnie na ich karki;
Bo ich złość,
Oj już dość
Dopełniła miarki.

Gdy wtenczas
Naszą twarz
Miła skrasi blizna,
Z brzękiem kos
Krzykniem w głos:
Niech żyje ojczyzna!

M. Nadwiślak.

Krzysztof Kluk

zacny ksiądz i uczony polski.

Kto chce kochać swoję rodzinną ziemię, powinien wiedzieć, co się na niej dzieje i działo, co na niej jest i było, jacy żyją i żyli ludzie, bo wtenczas dopiero będzie miał całkowity obraz tej kochanej ziemi i będzie wiedział, co kocha, do czego mu wzdychać i dążyć należy.

Pomiędzy ziemiami, które niegdyś składały Polskę, a dziś należą do cara moskiewskiego, jest Polesie, ziemia płaska, piaszczysta, okryta lasami, jeziorami i bagnami. Leży ona na północ od naszej Galicyi, w guberni lubelskiej, pomiędzy Mazowszem a Wołyniem. Na Polesiu jest miasto Ciechanowiec, gdzie dnia 13. września 1739. roku urodził się Krzysztof Kluk. Początkowe nauki pobierał w Warszawie, potem w Drohiczynie, mieście na Podlasiu, a nakoniec nauk wyższych słuchał w szkołach pijarskich w Łukowie, także podlaskiem mieście.

Ojciec jego był budowniczym. Ciągle rysował plany i mapy; mały Krzysztofek przyglądał się temu wszystkiemu z wielką ciekawością, a gdy tylko dorwał ołówka, zaraz rysował rozmaite obrazki na papierze. Ojciec cieszył się z tego bardzo, że syn czasu nie marnuje, ale po nauce, w rysunkach ma zabawkę.

Dlatego mawiał nieraz do żony swojej:

— Dobrze robi nasz synek Krzysztof, że już za młodu zaprawia się do pracy i czynnego życia. Prawdę mówią ludzie: Czem garnuszek nawre, tem skorupa trąci; do czego człowiek nawyknie w młodości, tem się odznacza w dalszem życiu. Niech synek uczy się i rysunków, kiedy ma ochotę, a kto wie, czy mu się nie przydadzą kiedy w życiu?..

— Do tego służy mu twój przykład — odpowiadała żona — a mówi przysłowie:

„Jakie drzewo, taki klin;
Jaki ojciec, taki syn.

Będziesz ty pracowitym i dobrym, to i syn twój nie będzie innym, boć rzadkie to wypadki, by dzieci dobrych rodziców były złemi.

I rysował i cieszył się mały Krzysztof, a rodzice z radością patrzyli na niego i cieszyli się swoim synkiem.

W naukach robił wielki postęp i jaką tylko książkę wziął do ręki, to ci wnet umiał z niej wszystko na palcach, bo się nad każdą rzeczą gruntownie zastanawiał. A co już pustoty wcale nie lubił, chociaż nie można znowu powiedzieć, żeby był smutnym i nie bawił się czasem.

Najmilszą dla niego rozrywką było iść w pola i lasy i tam dumać nad każdem dziełem Bożem, oglądać je na wszystkie strony i myśleć nad tem, do czego je Bóg stworzył, co też może być z niego za pożytek dla człowieka?... To też w głowie jego zbierały się wielkie wiadomości i niejedna składała się z nich książka, które potem spisywał na pożytek i pouczenie dla rodaków swoich

Cieszył go świat piękny, ale nie ten między zepsutymi ludźmi, jeno ten wielki, który zdumiewa cudami mądrości i wszechmocności Boga. W tym świecie czuł się najszczęśliwszym, bo tu widział same piękności, przejmował się spokojem i rozważał dzieła rąk boskich, na których można się uczyć i doskonalić.

Chciał być użytecznym ojczyźnie i poświęcił się stanowi duchownemu, bo mu się zdawało, że jako ksiądz będzie miał najwięcej czasu do nauki i rozmyślania nad tworami bożemi, i w 1761. roku wstąpił do seminaryum księży misyjonarzy u Św. krzyża i w krótkim czasie wyszedł ztąd wyświęconym kapłanem.

O człowieka z sercem i nauką dobijają się ludzie; tak samo stało się i z Krzysztofem Klukiem. Ossolińscy, starostwowie nurscy, przyjęli go w dom swój z wielkiem ukontentowaniem aby pełnił u nich obowiązki kapelana. I wyszło mu to na dobre. Poznali tam cnoty i naukę jego, postarali się dla niego o bogate probostwo w Mińsku. Kluk z gorliwością pracował nad ludem pieczy jego powierzonym i serdecznem słowem i rzetelnym przykładem zniewalał go do dobrego życia.

W tem dochodzi go wiadomość, że w Ciechanowcu, mieście urodzenia, jest opróżnione probostwo, ale o wiele lichsze i mniej tam było dochodów aniżeli w Mińsku.

Nie dbał wcale o to, ale postarał się o nie, bo tak sobie myślał. — Gdybym dłużej pozostał w Mińsku, zebrałbym dużo grosza, to któż może zaręczyć, czybym wygodniejszego nie prowadził życia, a nie zaniedbał mojej drogiej nauki?... I przeniósł się do Ciechanowca 1770 roku, bo otrzymał w nim probostwo pożądane. A dobrze to mówią mądrzy ludzie, że dla ludzi uczonych droższem jest światło nauki, niżli stosy złota. Dla księdza Kluka Ciechanowiec wydał się sposobniejszym do nauki, a przytem jako miejsce urodzenia, droższym po nad wszytkie miejsca w świecie.

— W Ciechanowcu, jako w mieście—myślał—łatwiej będzie można uczyć się dalej, aniżeli na wsi, toć mi tu będzie poręczniej, choć trochę i ubożej...

Zaledwie tylko osiadł w Ciechanowcu, już zasłynął na około jako gorliwy kapłan i uczony człowiek. Życie jego podobało się tak prostaczkom nizkim, jak i możnym panom.

A żyła tam wtedy w okolicy Ciechanowca w dobrach dziedzicznych Siemiatycze bardzo zacna pani, księżna Anna z Sapiehów Jabłonowska, wojewodzina bracławska. Była ona wielką miłośniczką i opiekunką nauk; miała wielki zbiór książek, co się z cudzoziemska biblijoteką, a po naszemu książnicą albo księgozbiorem nazywa, przytem obfity gabinet, czyli skład wszelakich osobliwości. Owoż były tam wypchane przeróżne zwierzęta czworonożne, ptaki, gady, ryby owady, kamienie kruszce, skamieniałe rzeczy, szkielety i Bóg wie jakie tam drobiazgi nowsze i starożytne, swojskie i cudzoziemskie, sprowadzane z najodleglejszych krajów za grube pieniądze.

I kosztował ci ten gabinet nie mało, żebyś i wieś kupił i jeszcze by się zostało w worku sporo grosza. Po śmierci księżnej kupił ten gabinet cesarz rosyjski Aleksander I. i zapłacił za niego mierną kwotę, bo tylko pięćdziesiąt tysięcy dukatów i kazał go zawieść do Petersburga, stolicy swojej, 1803 roku, gdzie też do dziś dnia zapewnie istnieje. Był to pierwszy gabinet taki w Polsce.

Gdy więc księżna pani dowiedziała się o takim szykownym w nauce księdzu, który przybył do Ciechanowca, zaraz uwiadamia go w te słowa:

— Jakich tylko ksiądz proboszcz będzie potrzebował książek, to proszę się udać do mojej książnicy, a wydadzą je zaraz. A jeżli znowu wola oglądać różne osobliwości, to proszę się udać do gabinetu, a wszystkiemu zadość uczynione będzie.

Uszczęśliwiony ksiądz Kluk taką łaskawością, oddał się z całem zamiłowaniem ulubionej nauce; pożyczał i czytał książki, w gabinecie szperał i oglądał najmniejsze drobnostki, chodził po polach, lasach i ogrodach, a potem opisywał wszystko w plebanii, co widział i jakie porobił spostrzeżenia.

Ludzie nieraz gadali o nim:

— Nasz ksiądz proboszcz to chyba żywcem dostanie się do nieba, boć takie to poczciwe i pracowite człeczysko. Gdy nie chodzi, to pisze i pisze bez ustanku i odpocznienia..

I wtedy to napisał aż w trzech sporych książkach: Roślin potrzebnych i pożytecznych opisanie, które podniosło ogrodnictwo w kraju i obudziło zamiłowanie do zakładania ogrodów i sadów. Panowie po dworach prawdziwie wyrywali sobie te książki i czytali je z jak największem zajęciem. Ale bo też było w nich nauki i mądrości nie mało.

Takie skwapliwe czytanie o roślinach zachęciło pracowitego księdza Kluka do zastanawiania się nad zwierzętami, wiedząc, że od nich zawisła częstokroć pomyślność albo szkoda w gospodarstwie I rozpoznawał pożyteczne i szkodliwe zwierzęta i spisywał o nich w domu rozmaite wiadomości. Po dziewięciu latach mozolnej i gorliwej pracy ogłosił drukiem znowu w czterech dużych książkach opisanie zwierząt. Te książki przyniosły mu wielki zaszczyt, który i w najpóźniejszych czasach nie przeminie dla niego. On był pierwszym w Polsce, który się wziął do takiej pracy. A ileż to pokoleń wychowało się na jego dziełach!

Jak się starał o zwierzęta, poznać z tego, co sam pisze:

— W rolnictwie każdy widzi, jak potrzebne są zwierzęta, ich zaś doskonałe utrzymanie zawisło od doskonałego poznania ich przyrodzenia. Z braku tej znajomości pochodzi nieumiejętność ratowania ich w przypadku.

I miał też pociechę ksiądz Kluk nie małą, bo nie było wioski, w którejby nie czytano jego książek A na Litwie powstało takie przysłowie: Nie może być dobrym gospodarzem ten, kto dzieł ks. Kluka nie ma u siebie.

Niebawem wydał dwie książki z wiadomościami o rzeczach kopalnych, potem w trzech książkach: „Dykcyjonarz roślinny,“ w którym opisuje wszystkie użyteczniejsze krajowe i cudzoziemskie rośliny.

Dlatego tak pisał o tem: — Człowiek, tak obfite odbierający od przyrodzenia dobrodziejstwa, a nie zastanawiający się nad niem, jest to właśnie ów szczur w hollenderskim serze, który, lubo z niego pożytkuje, nie ma przecież około niego starania, nie wiedząc, jak się stał, ani temu wdzięczności nie nie oddając, od kogo jest uczyniony

Choć był nadzwyczajnie skromnym i nie ubiegał się o żadne tytuły, jednakże praca i nauka wyrobiły mu takowe: kanonika kruszwickiego, następnie brzeskiego, katedralnego inflanckiego, nakoniec dziekana drohickiego i doktora nauk wyzwolonych i filozofii, oraz towarzysza szkoły głównej wielkiego księstwa litewskiego

Prace swoje darmo oddawał księżom Pijarom, aby je tylko ogłaszali drukiem, którzy do dziś dnia odprawiają za duszę jego w Warszawie dnia 2 lipca uroczyste nabożeństwo, w rocznicę jego śmierci.

Za trzy lata będzie sto lat temu, gdy na sejmie w Polsce ustanowiono komisyę edukacyjną. Do tej tedy komisyi edukacyjnej zawezwano i Krzysztofa Kluka, aby pisał książki szkolne. Pomimo wieku, usłużny, choć spracowany staruszek, wziął się do pisania i wydał: Opisanie roślin dla szkół narodowych i opisanie zwierząt.

Król Stanisław August ocenił pracowitość księdza Kluka, i obdarzył go medalem.

Ksiądz Kluk umarł 2. lipca 1796 roku w 57 roku życia w Ciechanowcu, w swojej plebanii.

Spoczywał w kościele parafialnym w Ciechanowcu, lecz gdy trumna pruchnieć poczęła, pan Korzeniowski kazał zrobić

inną. A w 1848 roku właściciel Ciechanowca, niejaki pan Stefan Ciecierski, kazał dla tego zacnego męża wystawić piękny nadgrobek i dać na nim napis:

— „Księdzu Krzysztofowi Klukowi, kanonikowi kruszwickiemu, dziekanowi drohiczyńskiemu, proboszczowi ciechanowickiemu, pierwszemu przyrodopisarzowi w języku polskim. Urodzony w m. Ciechanowcu r. 1739, zmarł 1796 r.

Józef z Bochni.

Nietoperze czyli gacki.

(Dokończenie.)

Nietoperze zwykle nie latają daleko, ale każdy z nich oblatuje bezustannie niewielką przestrzeń, i tam wyławia wszelkie owady latające w tej samej okolicy.

Przy tem wyławianiu owadów są nietoperze bardzo dowcipne. Spostrzeżono, iż nietoperz polujący między lipami za owadami, nie tykał ćmy samicy, bo uważał, że się do niej zlatują ćmy samczyki. Te więc pozjadał on naprzód.

Żeby się tem lepiej przekonać, jak wielką przysługę oddawają gacki człowiekowi, opowiem jedno zdarzenie. W Niemczech ścięto raz w zimie kilka tysięcy dębów. Między temi drzewami były niektóre wybutwiałe. W tych dziurach pochowało się na zimę bardzo wiele nietoperzów. Przy ścinaniu tych dębów atoli bardzo wiele tych zwierzątek wcale niepotrzebnie i przez głupotę zabito, a reszta na śniegu, mrozie i wilgoci też zmarniała. Trzeba je było kupkami ostrożnie pozbierać do kosza i zanieść gdzie do stajni, na szopę lub na strych i nie dać im marnie zginąć. Zaraz w następnjących latach okazała się niezmierna ilość gąsienic. Gąsienice te na kilka mil w około obżarły ze szczętem nietylko wszystkie dęby, ale i inne drzewa, a między niemi i owocowe po sadach. Dopóki były nietoperze, nie było tych gąsienic, bo nietoperze zjadały pilnie ćmy. Skoro nie było nietoperzów, namnożyło się wnet ciem i gąsienic szkodliwych, co nie miara.

Na zimę kryją się nietoperze po pustych drzewach, po dziurach, w starych murach, po strychach, dołach, w piwnicach i innych miejscach Zawinąwszy się w błonę lotną, jakby w płaszcz, zawieszają się one tylnemi nóżkami, głową na dół, kupkami razem, aby im było cieplej, i tak przesypiają po większej części bez przerwy całą zimę w otrętwieniu i nic wcale nie jedzą. Jest to dowodem wielkiej mądrości Boga. Jak już wiemy, nietoperze żywią się tylko owadami. Wszelakoż w zimie owadów nie ma; nietoperze nie znalazłyby przeto żadnego pożywienia i wyginęłyby wszystkie z głodu.

Kryją się one na zimę niekiedy i na strychy, poza kominy. Ztąd urosła bajka, że nietoperze zjadają szperkę na strychach lub w kominach. Jest to wierutny fałsz, przekonano się bowiem, że nietoperz prędzej z głodu zginie, nimby się tknął szperki lub jakiegobądź innego mięsiwa wędzonego. Nie gacki objadają słoninę lub inne mięsiwa po strychach, lecz myszy.

Inną bajką jest to, że nietoperze wlatują do włosów. Jest to tak śmieszne i wierutne kłamstwo, jak ono o zjadaniu szperki w kominach Nikt nigdzie nie przytoczy ani jednego dowodu, że to rzetelna prawda. A dziewki niechaj jeno baczą, aby nie miały co innego w nieporządnych włosach; nietoperza nie ma się o to wcale co bać Prędzej mogłoby się zdarzyć, żeby nietoperz za owadem jakim przez otwarte okno wleciał do izby. I tutaj nie ma się go co bać i nie należy go bić albo zabijać, bo jak wleciał, tak też i wyleci, byleby go nie płoszono, a chociażby i nie trafił natychmiast do okna lub drzwi i przez noc pozostał w izbie, to nikomu nic nie zrobi, a z rana można go wynieść Wszak niektóre nietoperze można nawet obłaskawić; wtedy biorą one pożywienie z ręki i liżą ją, jak piesek. Atoli w niewoli nie żyją one długo, bo im brak świeżego powietrza ruchu i stosownego pożywienia.

Jeszcze większem błazeństwem jest to, że gdyby mysz zjadła świecę w kościele, wtedy zamienia się ona w nietoperza. Trzeba niemieć najmniejszego wyobrażenia o świecie bożym, aby gadać tak coś głupiego, albo w to wierzyć. Kto kiedy słyszał, aby jakiekolwiek zwierzę zamieniło się w całkiem inne? Wszak nietoperze pierwej były na ziemi, nim kościoły i świece.

Z czegoż one więc wtedy powstawały? Przecież nie z myszy, co jadły świece? Zresztą jeżeli nietoperz nie tknie się szperki, to tem mniej będzie jadł świece. Nie trudno domyśleć się, kto to zjadł one świece w kościele, a potem spędził na nietoperza.

W krajach gorących, gdzie daleko więcej owadów, niż u nas, jest także nietoperzów więcej. Mieszkańcy tameczni znają dobrze wielką użyteczność tych zwierząt i nie pozwalają wyrządzać im krzywdy.

I o tem wiedzieć należy, że nietoperze nie bardzo się mnożą, bo tylko raz w roku ma nietoperzyca jedno lub dwa młode, a w zimie ginie ich u nas wiele od mrozu i wilgoci. Wreszcie łapie je także sowa zwana syczkiem czyli leśniaczką, tudzież sokół zwany kobcem czyli kobuzem. Więc ze względu na to i na wielkie pożytki, które te zwierzątka oddawają człowiekowi, nie trzeba je płoszyć ani zabijać

W naszym kraju żyje dwanaście rozmaitych gatunków nietoperzów.

Powrót wojaka.

Stach porzuca ojca, matkę
I kochaną swą Zosienkę,
Rzuca ojców swoich chatkę
I wychodzi na wojenkę.

Płacze w domu matka stara,
Płacze ojciec i Zosienka;
Niech cię strzeże Bóg i wiara
I przenajświętsza panienka.

Tak się modlą za nim wszyscy
Krewni i znajomi bliscy.
Stach tymczasem walczy w boju;
Ani myśleć o pokoju.

Ustał wreszcie bój zacięty,
I dopomógł mu Bóg święty,
Że powraca zdrów i cało:
Serce mu się radowało.

Wraca spiesznie do swej wioski,
I przez łąki, pola, gaje,
Wesół goni, co sił staje:
Bo chce skrócić matce troski.

I już znalazł się w swem siole,
I zapomniał wszystkie bole,
Wszystkie smutki, jakich doznał,
Skoro swoją wioskę poznał.

Szybko poleciał do chaty,
Którą opuścił przed laty;
Lecz cóż spostrzegł tam? dla Boga!
Kona matka jego droga...

Z tęsknoty za jedynakiem
Zachorowała nieboga,
Dręczyła ją boleść sroga,
Żyć nie miała już ochoty.

Napróżno ją w płaczu Zosienka tuli,
Napróżno ojciec wzywa lekarzy;
Chyba cud Stacha tutaj nadarzy,
I wróci zdrowie i radość matuli.

L cz gdy się we drzwiach Stach teraz pojawił,
I do nóg jej się rzucił ze łzami,
Matka doń rzekła temi słowami:
„Synu! tyś życie mi zbawił!

„Jam tak płakała,
„Jam tak czekała,
„Byś już raz wrócił,
„Nas nigdy nie rzucił!

„I Bóg me prośby wysłuchał łaskawy,
„Wracasz mi zdrowo z wojennej wyprawy!“
I płacząc z radości syna całuje,
I niebu za powrót szczęśliwy dziękuje.

W kilka dni potem w świąteczną niedzielę
Odbyło się Stacha z Zosienką wesele.
Długo się, żywo, wesoło bawiono,
A o tych smutkach — jak o snach mówiono.

Floryan ze Lwowa.

Rozwiązanie zagadki w numerze 16:

Ja—go—dy
Ja—gody.

Od redakcyi.

Szanownych naszych prenumeratów najserdeczniej przepraszamy za opóźnienie, które nie nasza jest wina. Miło nam, że obecnie zaciągnięty dług wypełniliśmy w całości. ile nam sił starczyło. Dziękujemy czytelnikom za łaskawe poparcie, a przedewszystkiem Wysokiemu Wydziałowi krajowemu, który pomocą materyalną umożliwił wydawanie Dzwonka. Tych czytelników, którzy prenumeraty dotąd nie złożyli, a Dzwonka nadał życzyliby sobie odbierać uwiadamiamy, że już wyszedł numer 7. i odtąd pismo nasze jak najregularniej rozsyłanem będzie.

Redakcya i wydawnictwo.

Redaktor odpowiedzialny Kazimierz Okaz. — Wydawca Stanisław Justian.

Wydano dnia 1. Marca 1872.

Z drukarni E. Winiarza we Lwowie.